ŚWIATŁO

MIESIĘCZNIK NAUKOWY

BEZPŁATNY DODATEK DO ILUSTROWANEGO TYGODNIKA „PRAWO LUDU“

Nr 3. Kraków, marzec 1912 r. Rok I.

TREŚĆ Nr. 3 „ŚWIATŁA“.

PAMIĘCI
TOW. JÓZEFA KWIATKA.

Przed dwoma laty zmarł w Krakowie szeroko znany wśród kół robotniczych Galicyi i Śląska tow. Józef Kwiatek — jedna z najpiękniejszych postaci w naszym ruchu socyalistycznym.

Przybył do nas z Królestwa, gdzie gorliwie, niejednokrotnie z narażeniem życia pracował w szeregach socyalistycznych. Przybył nie dla wytchnienia, nie dla odpoczynku po trudach i więzieniach, lecz dla dalszej pracy nad uświadamianiem mas robotniczych. Wydatnie pracował w różnych organizacyach oświatowych, założył pierwszą szkołę partyjną w Krakowie, stworzył Komisyę Oświatową, zamierzał wydawać pismo naukowe dla robotników.

Dziś właśnie nasze skromne „Światło“ jest jakby jednym krokiem dalej po drodze, przez Kwiatka wytkniętej.

Pamięć o nim żyje wśród robotników. Są już w Galicyi czytelnie robotnicze „imienia Kwiatka“, w Galicyi i na Śląsku funkcyonują dziesiątki „wędrownych bibliotek imienia J. Kwiatka“, założonych przy Uniwersytecie Ludowym.

Tłumy robotników krakowskich odprowadzały Kwiatka na miejsce wiecznego spoczynku, setki ludzi spieszyły z datkami na rzecz fundacyi jego imienia.

Nie zwątpienie, lecz nieuleczalna choroba odebrała nam tego dzielnego towarzysza.

Wszystkim zawsze imponowała potężna siła duchowa tego człowieka i pociągał ku sobie ten rzadki typ socyalisty, który w Kwiatku widziano.

Jako socyalista nie był Kwiatek wyłącznie intelektualistą (tylko człowiekiem rozumu, rozsądku, nauki) — bynajmniej bowiem nie tylko w formie żelaznej swą logiką doktryny stawała przed nim nauka socyalistyczna. Nie był też wyłącznie „żołnierzem rewolucyi“, któremu imponuje li tylko siła mechaniczna mas, druzgocących „stary porządek“, i którego mało obchodzi życie wewnętrzne człowieka, jako jednostki, jego światopogląd, muzyka duszy jego...

O nie! Kwiatek nie był takim socyalistą. Albowiem potrafił — rzecz tak wyjątkowej rzadkości — łączyć logikę socyologa i surowość, hart ducha żołnierskiego — z pierwiastkiem zgoła innym!

Materyalista w swych socyologicznych poglądach, był najczystszym idealistą w swej praktyce społecznej. Rozumiał, że nie może, nie powinien być socyalizm suchym, prozaicznym schematem, przewidywaniem, że ziści się przecież „ideał“ sytości powszechnej! Socyalizm dla Kwiatka to poryw, to romantyka, to napięcie moralne, to wiara cudowna, to religia wreszcie...

Albowiem, czy może być socyalistą ten dla którego socyalizm religią nie jest?

Przysłuchiwał się już swą duszą subtelną tej muzyce przyszłości, działał opromieniony pięknem ideału swojego — i socyalizm był dla niego światem całym nowych uczuć i pragnień — hen, wysoko, wysoko podnoszących ludzi ponad światem prozy współczesnej.

W jego przemówieniach, artykułach i odczytach słuchacz i czytelnik odczuwał ten polot uczucia, tą szczerość, tą czarującą

melodyę — i zwykle spływało mu do duszy toż samo ciepło, taż sama wiara.

Tak zadzierzgały się więzy duchowe ze słuchaczami — i uczucie słuchacza stawało się zdolnem do uchwycenia wielkiej, a groźnej poezyi dziejowej — walki pracy z kapitałem. I odlatywało, spadało z duszy wszystko co nieczyste, co pełne prozy powszedniej, z czem nie śmie człowiek wstąpić do świątyni przyszłości!

Takim typem socyalisty był Kwiatek, w wielobarwnym światopoglądzie socyalistycznym, którego uczucie i myśl, poezya i trzeźwość zlewały się w jedną całość harmonijną.

I twierdzę śmiało: że to właśnie, ta cecha jest najdroższą dla nas z tego, co w Kwiatku straciliśmy. I myślicieli, i żołnierzy, i rąk kierowniczych będziemy mieli poddostatkiem. Lecz — powiedźcie! — czy dużo jest tak oddziałujących, tak podnoszących, oczyszczających duszę, jak Kwiatek? Czy dużo?

Dusza piękna socyalisty musiała ujawnić się i w czysto osobistem stykaniu się z ludźmi. Tak miękki był dotyk duszy jego! Tak wyrozumiale głęboko zaglądały nam w duszę smutne jego oczy! Z taką wiarą w człowieka podawał nam silną dłoń swoją!

Lecz oto on sam — poczuł, że tak właśnie musi postąpić — sam przerwał pasmo życia swojego. Bez skargi i wahań odszedł od nas — by zginąć w chaosie czasów i nie powrócić już nigdy — już nigdy!

Piękny i dumny, nie straciwszy jeszcze nic z klejnotów ducha swego, nie stąpił, jeszcze nawet jedną nogą w błoto życia. Ani plamki jeszcze nie zrobiło na nim życie bezlitosne.

O takich właśnie ludziach mówi poeta:

O, nie płacz szalenie tak nad nim:
Tak pięknem jest umrzeć za młodu!...

I już tylko echo donosi się ku nam z tej dali bezgranicznej, gdzie zniknął tak drogi nam towarzysz. Już tylko echo... Piękną, harmonijną, dźwięczną harfę bezlitośnie podeptało, złamało nam życie! Piękny, wonny kwiat zerwała bezlitosna ręka losu:

Złamano harfę!... I tylko akord jeszcze łka!

K. Cz.

J. STRUMIŃSKI.

HUGO KOŁŁĄTAJ.

II.

„Konstytucya 3 maja była wielkiem dobrem, na które zdobyć się mogliśmy w owym czasie, kiedy pierwszy raz odważyliśmy się wydobyć z odwiecznej anarchii“ — pisał Kołłątaj w lat kilkanaście po ogłoszeniu Konstytucyi. Poznaliśmy w poprzednim numerze „Światła“ poglądy Kołłątaja na sprawę włościan: walczył on również piórem i czynem w sprawie upośledzonego stanu miejskiego. Żądał, żeby mieszczanie otrzymali udział w przedstawicielstwie, żeby zniesiono krępujące ich prawa obywatelskie, zakazy, np., żeby wolno było im kupować ziemię, żeby mogli dosługiwać się wyższych urzędów i zaszczytów. Kołłątaj postępował względem mieszczan inaczej niż względem chłopów. Mieszczanie mieli już bowiem poczucie swych praw, rozumieli swoje znaczenie w państwie, stanowili siłę, na której się polityk mógł oprzeć. Kołłątaj tę siłę im uświadamiał, ośmielił prezydenta Warszawy, Dekerta, do zwołania delegatów wszystkich miast królewskich. Za jego namową 269 delegatów, t. zw. z powodu uroczystego czarnego stroju — „czarna procesya“ mieszczańska poszła do króla, przedstawiając żądania mieszczan. Dzięki pismom i agitacyi Kołłątaja sejm uchwalił prawo o miastach, w znacznej części uwzględniające te żądania. Zarzucono Kołłątajowi, że wyprowadził mieszczan „na ulicę“, że pokazał drogę manifestacyi politycznych, przypominających rewolucyę francuską, nazywano go nieraz — „jakobinem“ polskim, na wzór owych rewolucyjnych jakobinów francuskich.

Ale Kołłątaj nie był jakobinem. Liczył się z warunkami politycznymi i społecznymi. Dlatego przewagę szlachty uznawał. Tylko pragnął, żeby szlachectwo było nie darem samego „urodzenia“. Szlachcicem powinien zostać każdy człowiek, który odznaczy się jakimś czynem niezwykłym lub pracą pożyteczną.

Udział w rządach powinni mieć wedle Kołłątaja zarówno szlachta, jak i mieszczanie, ale tylko ci ze szlachty i z mieszczan, którzy posiadają ziemię lub domy, czy warsztaty. W podziale społecznym, który chciałby przeprowadzić występuje po raz pierwszy nowożytne, kapitalistyczne pojęcie — własności. Na posiadających i nieposiadających dzieli obywateli, nie — jak dawniej

na „urodzonych“ w stanie szlacheckim i nie szlachtę“. Z przenikliwością wielką wskazuje Kołłątaj, że w przyszłości własność będzie wywierała wielki wpływ na układ stosunków między ludźmi: „przyjdzie czas, kiedy miliony ludzi rzekną: odbierzmy na potrzebę naszą i publiczną dobra szlachty, bo stan szlachecki jest ustanowienia politycznego, bo stanu tego powinności ustawy, bo stan ten posiada ziemię zawojowaną, a zatem cudzą“.

* * *

W rozwoju społecznym Polski, w przetwarzaniu się społeczeństwa polskiego w końcu XVIII wieku Kołłątaj odegrał rolę olbrzymią. Jego płomienne wezwania, jego mądre rozwarzania, oparte na znajomości stosunków i potrzeb kraju obalały zadawnione przesądy, szerzyły nowe myśli, przygotowywały do nowych czynów. W czasie sejmu czteroletniego dom Kołłątaja nazywano „kuźnicą“. Owe groty i miecze, które kuli w niej pod przewodem Kołłątaja jego pomocnicy — dzielni pisarze — to słowa ostre, gorące, naprzemian zaklęcia i drwiny, przekonywania i żądania.

III.

Kołłątaj rozumiał, że chcąc lepszą przyszłość wywalczyć, trzeba wychować nowe pokolenie tak, aby było zdolne do walki i pracy.

Dlatego nawoływał w swoich pismach do oświaty, dlatego z zapałem pracował około reformy szkół i nauczania. Kołłątaj uważał, że ponieważ każdy człowiek, przychodząc na świat, przynosi ze sobą siły i zdolności, które mogą się rozwinąć — powinien je rozwijać, doskonalić, żeby mógł przy ich pomocy zaspokajać coraz lepiej swoje potrzeby. Obowiązkiem państwa — dowodził — jest wychowywać wszystkie dzieci tak, aby wszelki człowiek mógł rozwijać swoje siły, żeby zdolne dziecko — choćby pod wieśniaczą strzechą narodzone — mogło dojść tak wysoko, jak tylko możność ludzka pozwala. W oświacie ukazywał tę potęgę, która przerobić może stosunki, stworzyć przyszłość jaśniejszą. Ale doskonale rozumiał, że samo tylko wychowanie młodzieży tego nie dokaże. Nie przerobi życia nauka najlepsza, jeżeli nie będą zniesione prawa niesprawiedliwe, jeżeli inaczej nauczać będą w szkołach, a inaczej wypadnie postępować w życiu. Kołłątaj pragnął, żeby nauka miała związek z życiem, uczyła jak żyć, pokazywała jak korzystać z bogactw przyrody i jak zmieniać stosunki społeczne. Kiedy mówiono, że ludowi nie można dać wolności, bo do niej nie dorósł i najsamprzód trzeba go oświecić — wykazywał, że właśnie niewola i niesprawiedliwość utrzymuje lud w ciemnocie, że wolność da mu dopiero przystęp do światła.

Jako reformator szkolnictwa Kołłątaj występował przeciwko nauce dogmatycznej, przeciwko narzucaniu z góry wierzeń i poglądów. Za zło największe uważał przesądy, które utrzymują ludzkość w ciemnocie i niewoli. Chciał, żeby ludzie uczyli się myśleć samodzielnie. Dlatego w szerzeniu oświaty na pierwszem miejscu stawiał matematykę i nauki przyrodnicze, obok nich naukę moralną niezawisłą od wierzeń religijnych. Ta kołłątajowska nauka moralna rozpatrywała co się człowiekowi należy i do czego jest obowiązany względem siebie i innych, na podstawie praw przyrody i stosunków społecznych.

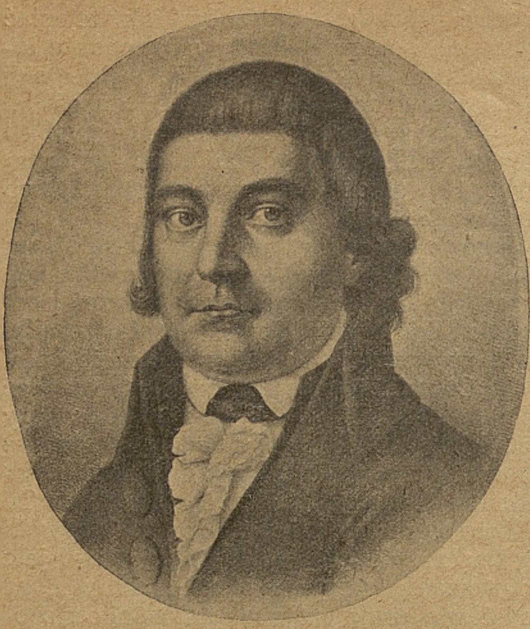
* * *

Kołłątaj marzył o tem, że przez sprawiedliwość społeczną, oświatę i wychowanie, uzdalniające wszystkich do pożytecznej pracy dla dobra ogółu odrodzi się Polska, sam był tego upragnionego odrodzenia gorliwym pracownikiem. Wiele jego myśli dziś jeszcze wielkie ma znaczenie, dziś jeszcze ci co walczą z niesprawiedliwością społeczną, z ciemnotą i fanatyzmem, wiele nauczyć się mogą od tego wielkiego bojownika.

Pokazywał gdzie największe zło, budził do walki uświadamiał siły. Chociaż dzisiaj— po stu latach rozwoju — inaczej niż Kołłątaj zapatrujemy się na wiele spraw społecznych, czcić w nim musimy nietylko wielkiego działacza owych czasów, ale przodownika ruchu demokratycznego i wolnomyślnego w Polsce.

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI.

Rok obecny obfituje w rocznice. Pisaliśmy w zeszłym numerze o tem, że w 1812 r. urodził się poeta Zygmunt Krasiński. W tym samym roku przyszedł na świat Józef Ignacy Kraszewski, bardzo znany i poczytny powieściopisarz. Nie dorasta on sławą i talentem Krasińskiemu, ale jest od niego o wiele popularniejszy. Mówią o Kraszewskim, że nauczył on po polsku czytać modne panie, które w połowie 19 wieku pochłaniały powieści francuskie, ale do polskich się nie brały. Dotychczas wielu lu-



Hugo Kołłątaj.

dzi, zwłaszcza z pośród młodzieży, z niezaprawionych do czytania przywyka do książki, bo się nie może oderwać od jego powieści historycznych, malujących bohaterów w dawnych czasach. A tych jego powieści jest tak ogromnie wiele, że aż dziw, jak jeden człowiek tyle mógł napisać. Są wśród nich lepsze i gorsze, a niektórych dziś już nikt nie czyta, chyba tacy ludzie, co się specyalnie piśmiennictwem zajmują, parę jednak jest bardzo pięknych np. Stara baśń, powieść z tych czasów, kiedy w Polsce jeszcze było pogaństwo i żyli Popiel i Piast, jak o tem dawne podania głoszą.

Prócz powieści, Kraszewski pisywał artykuły do różnych pism i był redaktorem „Gazety Warszawskiej“ w bardzo ciekawych czasach, wtedy mianowicie, gdy się w Królestwie zanosiło na powstanie przeciwko Rosyi w r. 1863. Ruch zbrojny wybuchł w styczniu 1863 roku, ale burza ta przygotowywała się długo i już w 1861 r. wrzało wśród ludności tak, że w kraju całym, a szczególniej w Warszawie ciągle odbywały się tłumne manifestacye, na znak niezadowolenia z rządów carskich. Aleksander II, który świeżo wstąpił był na tron i w całej Rosyi znalazł wzburzenie, spowodowane okrutnemi rządami swego ojca Mikołaja I, bał się, ażeby Królestwo Polskie nie dało hasła do rewolucyi w całej Rosyi. Pospiesznie i bardzo niedostatecznie załatwił w 1861 r. kwestyę uwłaszczenia włościan, którzy do tego czasu byli w całym cesarstwie pod strasznym uciskiem pańskim, a w Królestwie wobec ciągłych manifestacyi bał się krwawo występować, żeby nie jątrzyć wzburzonego ludu. Oto dlaczego władze miejscowe w Królestwie patrzyły przez palce na tysiące demonstrującego ludu. Nie zawsze przecież. Dnia 27 lutego 1861 r. do tłumu zgromadzonego na placu Zygmunta w Warszawie dano pierwszą salwę i padło 5 trupów, które lud porwał jako męczenników sprawy.

Wzburzenie było w mieście tak straszne, że namiestnik Gorczakow, delegacyi obywateli wszystkich stanów, która się do niego tegoż dnia wybrała, oddał pod opiekę porządek w mieście przez 3 dni aż do pogrzebu, cofając na cały ten czas wojsko i policyę. Urządzono natychmiast straż obywatelską i cieszono się „zwycięstwem słabości nad zbrojnym nieprzyjacielem“, jak mówi Kraszewski. W „Gazecie Warszawskiej z dnia 3 marca 1861 r. znajdujemy napisany przez niego opis pogrzebu 5 ofiar despotyzmu carskiego, który po 50 przeszło latach z wzruszeniem czytamy:

„Wczoraj pod niebem wypogodzonem najpiękniejszego dnia młodej wiosny obchodziliśmy w milczeniu uroczystem pogrzeb zwłok 5 ofiar, poległych dnia 27 lutego. Obrzęd ten wspaniały swoją prostotą i majestatyczną ciszą, przedstawiał obraz, którego dać trudno pojęcię tym, co nie byli mu przytomni. Całe miasto w szatach żałobnych, damy poprzystrajane czarno, wszystkich obrzędów kapłani, idący obok siebie, przedstawiciele wszystkich klas społeczeństwa podający sobie dłonie, na ostatek najmłodsze pokolenie, pełne życia i wiary, utrzymujące porządek w stutysięcznym tłumie, oto zarys tej wielkiej karty dziejowej.

Pięć trumien, okrytych palmami i cierniowemi koronami niesiono na ramionach aż na miejsce spoczynku, a orszak towarzyszący im lub raczej otaczający pochód, zajmował ulice, place, domy i dachy nawet kamienic przyległych. Jednakże wśród tego ścisku i słowa ani o jednym przypadku, ani o jednym krzyku nawet nie słyszeliśmy. Dziwnym dowodem dojrzałości ludu było to cudowne zorganizowanie się jego własne, jego zlanie się w ciało porządne i władnące sobą, jego spokój i powaga“...

Kraszewski nie był usposobiony bojowo: „nie siła dłoni naszych jest siłą naszą, ale siła dusz i umysłów“, pisze, kończąc opis tej wspaniałej manifestacyi, na którą rząd pozwalał z obawy, aby lud od demonstracyi nie przeszedł do czynu rewolucyjnego. Ale na czyn zbrojny jeszcze długo trzeba

było czekać, choć gorętsi t. zw. „czerwoni“ już wtedy widzieli jego konieczność. Kraszewski się go bał i jak wielu wówczas wierzył w jakieś cudowne zwycięstwo sprawiedliwości. „Siła nasza w sprawiedliwości sprawy... słabość nasza jest siłą naszą“, pisał. Niestety łatwiej te piękne zdania na papierze wykreślić, niż w życiu je ziszczonemi zobaczyć. Sam Kraszewski uległ przemocy i musiał kraj na zawsze opuścić z powodu swych artykułów, a naród tak władnący sobą w 1861 r. w dwa lata potem doprowadzony do rozpaczy rzucił się w walkę krwawą, niestety przegraną. Za granicą już Kraszewski pisał powieści na tle powstania pod przybranem nazwiskiem Bolesławity. Najciekawsza z nich nosi tytuł „Dziecię Starego Miasta“. Daje ona pojęcie o tym, jaki udział w ruchu przedpowstańczym brał proletaryat miejski w Warszawie na Starem Mieście, gdzie przed 50 laty koncentrowała się najuboższa ludność, przeważnie rzemieślnicza, bo fabryk jeszcze wtedy prawie nie było w Królestwie. Jak za dawnych Kościuszkowskich czasów, za czasów szewca Kilińskiego, jak w 1830 roku, tak i w roku 1863 Stare Miasto jest najbardziej rewolucyjne. Dopiero w 1905 roku rozlała się rewolucya po innych nowszych dzielnicach Warszawy.

Wł. Weychert Szymanowska.

D. G.

REPUBLIKA CHIŃSKA.

Na dalekim wschodzie, między górami Azyi środkowej a wybrzeżem Oceanu Wielkiego, leży ogromne państwo chińskie. Obok angielskiego państwa, mającego posiadłości we wszystkich pięciu częściach świata, państwo chińskie z wszystkich państw na ziemi jest najludniejsze; mieszka w niem czterysta dwadzieścia ośm milionów ludzi, a więc jedna czwarta część całej ludzkości, podczas gdy naprzykład w państwie rosyjskiem mieszka tylko jedenasta część ludzkości, a w całem państwie niemieckiem, wraz z wszystkiemi jego posiadłościami zamorskiemi, zaledwie jedna dwudziesta druga część. Co się zaś tyczy obszaru, przez poszczególne państwa zajętego, to po państwie angielskiem oraz po państwie rosyjskiem, rozległem ale słabo zaludnionem, trzeciem z rzędu państwem na świecie co do rozległości są Chiny.

A jakkolwiek obyczaje Chińczyków są odmienne od naszych i nieraz wydają się nam dziwacznemi, to jednak Chińczycy bynajmniej nie są dzikiemi ludźmi. Przeciwnie. Chińczycy już tysiące lat temu, długo przed ludami Europy, umieli i pisać i papier wyrabiać i książki drukować. Od nich to Europejczycy nauczyli się wyrabiać tak piękne rzeczy, jak jedwab i porcelanę; także i proch do strzelania Chińczycy na długo przed Europejczykami znali, choć nie do zabijania ludzi go używali, a tylko do zabawy sztucznemi ogniami. I drzewo pomarańczowe i krzew herbaciany pierwsi na świecie Chińczycy hodowali; znali też o wiele wcześniej od Europejczyków użytek bawełny. Od dawien dawna też Chińczycy mają wzorowo zagospodarowane pola i ogrody, mają miasta bogate i rojne, kanały spławne, liczne okręty żaglowe, okazałe pałace i piękne świątynie, gdzie, zwyczajem kraju, oddają cześć umarłym bohaterom i mędrcom.

Głównym brakiem chińskiego społeczeństwa jednak było oddawna, że w tym narodzie skrzętnych rolników i ogrodników, pracowitych rzemieślników i artystów, myślał każdy tylko o swej pracy, o swoim zarobku i o swojem szczęściu domowem, a prawie nikt nie myślał o sprawach całego narodu. To pozostawiano cesarzowi, jego dworzanom i urzędnikom. A cesarz chiński znowu i dworzanie i urzędnicy jego nieraz więcej myśleli o swoich wygodach i uciechach, aniżeli o niebezpieczeństwach, grożących narodowi. Obrona krajowa przed napastnikami była więc zaniedbana. Tak się stało, że ćwierć tysiąca lat temu (w czasie, kiedy u nas w Polsce królował Władysław IV), Chiny zostały zawojowane przez Mandżurów. Nazwę Mandżurów nosił związek plemion koczowników ze stepów północnych; byli to ludzie ciemni, wpół dzicy; cudackie mieli zwyczaje, albowiem u nich mężczyźni nosili długie warkocze, zwisające na plecy. Ale byli to dzielni wojownicy, wytrzymali, bitni i karni. Zawojowali więc Chiny, a wódz ich stał się cesarzem chińskim. Na znak, że teraz kraj cały do nich należy, zwycięscy Mandżurowie pod karą śmierci nakazali wszystkim mężczyznom w Chinach również nosić warkocze. Odtąd na karkach cywilizowanych rolników i rzemieślników, uczonych i myślicieli chińskich rozsiadło się potomstwo rubasznych zdobywców mandżurskich, jako szlachta dziedziczna. Od tego czasu ustał w Chinach wszelki postęp; zdławiła go łapa wyzyskiwaczy tępych a chciwych. Kraj zwolna zaczął podupadać. A kiedy po kilku

pokoleniach Mandżurowie wprawdzie liznęli nieco kultury, ale za to rozpieszczeni przywilejami i bogactwem bez trudu nabytem, zupełnie zatracili dawną wojowniczość, wtedy państwo chińskie i na zewnątrz zaczęło się stawać słabszem niż kiedykolwiek.

A tymczasem od północy do stepowych krajów granicznych, pozostających pod zwierzchnictwem chińskiem, stopniowo zaczęli się wdzierać zdobywcy rosyjscy, przemocą i rozbojem przesuwając granicę Rosyi coraz bliżej ku Chinom właściwym. W najnowszym czasie zaś obok Rosyi i inne państwa europejskie zaczęły krzywdzić Chiny, zbrojną przemocą obsadzając chińskie miasta nadmorskie; czyniła to Francya, dalej Niemcy i Anglia. Działo się to głównie za parciem wielkich kapitalistów tych krajów, z których jedni pragnęli ułatwić sobie zbyt swoich towarów w Chinach, inni zaś naodwrót chcieli korzystać z przyrodzonego bogactwa Chin, aby tam nabywać plantacye herbaty czy bawełny, albo zakładać kopalnie czy fabryki, a towary tam wytwarzane sprzedawać w Europie lub gdzieindziej. Oprócz tego inny jeszcze sąsiad korzystał ze słabości i zacofania Chin, mianowicie Japonia. Kraj ten, którego mieszkańcy przed wiekami od Chińczyków nauczyli się pisać, w ciągu ostatnich lat pięćdziesięciu znacznie prześcignął Chiny; przyswoił sobie bowiem wszystkie ważniejsze zdobycze europejskiej nauki i techniki. Zbrojni w te zdobycze, Japończycy w 1894 roku wypowiedzieli Chińczykom wojnę i zmusili ich do wyrzeczenia się zwierzchnictwa nad pogranicznym krajem Koreą.

Wobec tych wszystkich klęsk niepokój ogarnął Chińczyków. Wszak wyglądało coraz bardziej na to, jak gdyby europejska technika i europejska sztuka wojenna miały przyprawić Chiny o zagładę. Wobec tego niebezpieczeństwa Chińczycy w dwojaki sposób sobie radzili. Jedni, tak zwani Bokserzy, uważali poprostu wszelkie zetknięcie się z cudzoziemcami za zgubne dla chińskiego narodu, zabijali więc cudzoziemców oraz niszczyli ich własność. Bokserzy jednak na kraj, który chcieli ocalić, tylko nową klęskę sprowadzili. Albowiem, aby kres położyć ich zbrodniom, w 1900 roku oddziały sześciu mocarstw europejskich: Anglii, Francyi, Niemiec, Austryi, Włoch i Rosyi, razem z wojskami japońskiemi i amerykańskiemi wtargnęły do Chin. Pekin, stolica Chin, została zdobyta; ruch Bokserów stłumiono, a rząd chiński musiał dać zadośćuczynienie nader upokarzające, w toku tej wyprawy żołnierze rosyjscy masowo gwałcili i mordowali chińskie kobiety, pruscy żołnierze zaś tłukli kosztowne porcelany oraz kradli cenne jedwabie.

W przeciwieństwie zaś do Bokserów całkiem inaczej pojęli sprawę ocalenia ojczyzny postępowcy chińscy. Zrozumeli oni, że, aby módz skutecznie obronić Chiny od najazdu Europejczyków, musieli najpierw sami posiąść wszystko to, w czem dzisiejsza kultura europejska jest wyższą od chińskiej. Hasłem ich stało się: przyswoić sobie wiedzę europejską, technikę europejską oraz europejską sztukę wojenną, ale użyć tych wszystkich zdobyczy w obronie całości i niepodległości Chin. Do tego kierunku lgnęły tysiące młodych Chińczyków, kształcących się po uniwersytetach zagranicznych — po części w Europie, przedewszystkiem jednak w Japonii oraz w Ameryce północnej. Nie ograniczali oni jednak bynajmniej studyów swoich do kwestyj technicznych i wojskowych, prowadzili także gorliwe studya nad najlepszym sposobem urządzenia państwa i społeczeństwa. I oto studya te doprowadziły ich w dziedzinie polityki do żądania przekształcenia Chin na demokratyczną republikę związkową, na wzór Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej, w dziedzinie gospodarczej zaś do uznania potrzeby reform społecznych, pojętych w duchu mniej lub więcej pokrewnym do socyalizmu. Pod tym ostatnim względem zresztą, jak się zdaje, niezupełna między niemi panuje zgoda. Natomiast jedno im wszystkim od początku było jasne: że polityczne i społeczne odrodzenie Chin stanie się możliwem dopiero po obaleniu panowania Mandżurów.

Tymczasem rząd cesarski, widząc, że siła republikanów rośnie, zaczął robić pozorne ustępstwa, raz nawet publicznie obiecał, że za dwanaście lat zaprowadzi konstytucyę. Ale nieszczerość tych ustępstw zbyt była widoczną, to też republikanie nie dali się zbić z tropu, tylko na lato 1911 roku wszczęli zbrojne powstanie. W ciągu pięciu miesięcy wojska powstańcze, zewsząd zasilane przez ochotników z ludu, wyzwoliły z pod jarzma mandżurskiego całe Chiny właściwe, od gór do morza, siedzibę czterechset milionów ludzi. Na tym całym obszarze ludność uznała rządy republikańskie, opierają się tylko mieszkańcy północnych krajów stepowych, przeważnie Mongoli i inni koczownicy. Ten zwycięski przebieg powstania dowodzi, że kierowano niem w sposób nadzwyczaj mądry i sprężysty, oraz że ogromna większość

ludności została dla ruchu powstańczego pozyskana. Odrazu też zabrano się do utrwalenia rządów republikańskich we wszystkich prowincyach. Nadto rozpisano wybory do konstytuanty, to znaczy do parlamentu przygotowawczego, mającego uchwalić konstytucyę. Ta konstytuanta na tymczasowego prezydenta Chin powołała żyjącego na wygnaniu w Ameryce przywódcę stronnictwa republikańskego, doktora Sunjacen. W całych Chinach mężczyźni zaczęli sobie ścinać warkocze, na znak, że panowanie Mandżurów ustało.

Aby jednak oszczędzić krajowi dalszy przelew krwi, zwycięscy republikanie rozpoczęli rokowania pokojowe z Mandżurami oraz z rodziną cesarską. Cesarzowa-matka, rządząca imieniem nieletniego cesarza, prowadzenie tych rokowań powierzyła najmądrzejszemu ze swoich ministrów, któremu na imię Juanszikaj. Nie jestto Mandżur, tylko Chińczyk. A nie jestto także zwyczajny dworzanin ani biurokrata, owszem człowiek o bardzo samodzielnych poglądach. Dlatego też kilka lat temu, kiedy się uporczywie domagał reform, popadł w niełaskę, został wydalony ze stolicy i zesłany do rodzinnego miasta swojego. Dopiero teraz, kiedy sprawa jej już była stracona, cesarzowa po niewczasie przypomniała sobie światłe rady Juanszikaja i przywołała go nazad do siebie. Juanszikaj tedy prowadził rokowania, ale bardziej jako patryota dbający o dobro narodu, niż jako cesarski sługa. Ze swej strony republikanie, widząc, jak Rosya i inne mocarstwa obce się cieszyły z wojny domowej w Chinach i już sobie ostrzyły zęby na chińskie ziemie, skorzy byli do ustępstw, aby tylko czemprędzej doprowadzić do zgody. Stanęło więc na tem, że Mandżurom przyznano bezpieczeństwo życia i mienia oraz zupełne równouprawnienie z Chińczykami, natomiast cesarzowa, cesarz i Mandżurowie zobowiązali się uznać republikę. Uznania tego dokonała cesarzowa w uroczystem rozporządzeniu, w którem w imieniu własnem i całej swojej rodziny zrzeka się władzy cesarskiej na wieczne czasy, a Juanszikajowi poleca urządzić republikę. Ze swojej strony, dla zaznaczenia wobec całego świata, że w narodzie chińskim zapanowała zupełna zgoda, wódz republikanów dr Sunjacen złożył godność prezydenta Chin, aby na jego miejsce mógł być obrany prezydentem Juanszikaj, co też konstytuanta jednogłośnie uczyniła. Juanszikaj przyjął wybór i ściął warkocz, a wkrótce ma objąć rządy.

W taki sposób najliczniejszy naród na ziemi przeszedł od rządów absolutystycznych do rządów republikańskich. Jestto może najdonioślejsze zdarzenie polityczne naszych czasów. Warto tedy będzie czujnie śledzić za dalszym przebiegiem spraw chińskich.

A. KRAGEN.

O budowie i powstaniu istot żywych.

Wystarczy wyjść latem za miasto, aby zobaczyć wielkie bogactwo roślin i zwierząt. Kształty i barwy różnorodne uderzają nasz wzrok. Jaka rozmaitość uderza nas wśród samych traw i drzew, a cóż dopiero wśród kwiatów barwnych!

Bogatszym jeszcze w kształty jest świat zwierząt.

Mimo jednak tak wielkiej różnorodności wszystkie zwierzęta i rośliny są do siebie podobne. Zdziwi was to, skoro tylko będziecie myśleli o budowie dostrzegalnej dla gołego oka. Skoro jednak weźmiecie cieniutki skrawek z rośliny lub zwierzęcia i dacie go pod mikroskop, t. j. szkła silnie bardzo powiększające, spostrzeżecie szereg przylegających do siebie pęcherzyków, często nieco spłaszczonych. Są to tak zwane k o m ó r k i.

Z nich to zbudowana jest każda istota żywa. Miliony niezliczone komórek stanowią ciało nasze. Wszystkie organa nasze zewnętne i wewnętrzne są z nich zbudowane, a nawet włosy i paznogcie są zbiorem komórek. Komórki te wciąż się w ciele naszem zużywają, ulegają zniszczeniu, a miejsce ich zajmują nowe powstające w ten sposób, że komórka każda dzieli się na dwie nowe komórki. Przez nieustanny podział komórek, liczba ich się mnoży i wten sposób przybywa materyału na budowę naszego ciała, które rośnie i rozwija się.

Tak samo naturalnie są zbudowane wszystkie zwierzęta i rośliny. Komórki są to więc jakoby cegiełki ogromnie małe, gołem okiem niedostrzegalne, wielkość ich bowiem mierzy się na dziesiętne, a często nawet na tysięczne części jednego milimetra. Pomyślcie, jak one są małe, kiedy jeden milimetr jest dziesiątą częścią centimetra! Mimo tak małych rozmiarów komórka jest zdolną do życia samodzielnego. Bakterye n. p., z których liczne dają się nam we znaki przez to, że powodują choroby zakaźne wśród ludzi i bydła, są stworzeniami jednokomórkowemi.

Każda komórka bez względu na to, czy wchodzi w skład złożonego bardzo organizmu, czy też żyje samodzielnie, składa się z części jednakowych, które warunkują zdolność jej do życia i dalszego rozwoju. Skoro spojrzycie na komórkę, zobaczycie w środku jej ciało kuliste. Jest to j ą d r o, które przy podziale komórki gra rolę pierwszorzędną. Jądro to otoczone jest galaretowatą, ziarnistą masą t. z. p l a z m ą. Plazma wraz z jądrem jest do życia komórki niezbędną. Skoro z komórki oddalimy jądro, komórka długo istnieć nie będzie mogła, tak samo jądro oddzielone od plazmy nie ma warunków niezbędnych dla życia i wkrótce marnieje.

Skoro dzięki mikroskopowi odkryto komórkę, zaczęto badać jej części składowe t. j. plazmę i jądro. Zaczęto badać budowę ich i skład. aby się przekonać, co właściwie sprawia to, że komórka oddecha, pobiera pokarmy, że się mnoży, że jednem słowem żyje.

Okazało się w końcu, że wszystkie istoty żywe nie różnią się składnikiem swym niczem od ciał nieożywionych. Wiecie pewnie, że ciała nieożywione n. p. kamienie, i t. p. dadzą się rozłożyć ostatecznie na ciała dalej niepodzielne na t. zwane p i e r w i a s t k i. Takiemi pierwiastkami są na przykład węgiel, wodór, tlen, fosfor, siarka, żelazo, miedź i wiele innych. Jest ich przeszło 70. Te same pierwiastki dają związki tworzące plazmę i jądro. Nie znaleziono ani jednego pierwiastka, któryby w istotach żywych wyłącznie tylko występował. Tak więc niema żadnej różnicy w składzie ciał żywych i nieożywionych. A kiedy komórka zbudowana jest z pierwiastków tych samych co świat martwy, wydało się prostem przypuszczenie, że z pierwiastków tych można będzie zbudować komórkę. W ten sposób człowiek mógłby sam s t w o r z y ć życie. Usiłowania dotychczasowe nie przyniosły oczekiwanego rezultatu. Wprawdzie znamy związki tworzące p l a z m ę i j ą d r o, okazuje się jednak, że budowa ich jest tak złożona, że w obecnych warunkach nie zdołano jej odtworzyć.

Nigdzie też w przyrodzie nie zauważono, aby istota żywa choćby najprostszej budowy tworzyła się z materyi martwej.

Każda komórka żywa może powstać tylko z komórki już istnejącej.

Niesłusznem z gruntu jest mniemanie, że robaki n. p. rodzą się z brudu. Robaki bowiem jako istoty żywe, rodzą się z komórki, z jaja składanego zwyczajnie w miejscach, w którychby młode z jaja wylęgłe mogły mieć poddostatkiem pożywienia. Tylko komórka żywa umie daś początek czy to roślinie, czy zwierzęciu. *)

Zapytacie pewnie, czy życie zawsze rozwijało się z komórki.

Na pytanie to można odpowiedzieć tylko przypuszczeniem, które teraz wydaje się najprawdopodobniejszem.

Był czas, kiedy ziemia nasza była rozpaloną kulą. Życie żadne ostać by się na niej nie mogło. Pierwiastki wszystkie znajdowały się na niej w postaci gazów tak, jak teraz na słońcu i gwiazdach. Ciała te rozgrzane znacznie rzucały w dal światło.

Powoli ziemia ostygła, pojawiło się na niej powietrze i woda. Zapanowały warunki sprzyjające rozwojowi życia. I wtedy to na pustej, martwej ziemi pojawił się zarodek życia. Jak to się stać mogło?

Wiemy już, że ciała żywe i martwe składaję się z tych samych pierwiastków. Na tej podstawie opierają uczeni przypuszczenie, że świat żywy powstał kiedyś z martwego. Może na ziemi, kiedy ona ostygała były warunki takie, jakich dzisiaj na niej już niema, w których komórka z pierwiastków sama się wytworzyć mogła. — Możliwem jest jeszcze i to, że na ziemi akt twórczy życia z pierwiastków miał miejsce, ale gdzieś poza nią. Może poza naszą planetą były, a może i są jeszcze warunki dla tworzenia się komórek, które unoszą się nieustannie w całym wszechświecie i mogą dać początek życiu, skoro przypadkiem padną tam, gdzie ono rozwinąć się może. Komórki te mają być bardzo małe i lekkie, mogą długo znosić niekorzystne warunki jak zimno i brak powietrza. Te ciała mogły przypadkiem paść na ziemię ostygającą i stać się zarodkiem bujnego na niej życia.

Według tego ostatniego przypuszczenia życie jest wieczne, niezniszczalne. Może po milionach lat słońce nasze spotka los ten sam co i ziemię, słonce ostygnie, a wtedy na ziemi zapanuje ciemność wieczna, zabraknie na niej warunków niezbędnych dla życia, mróz zetnie bujne rośliny, poniszczy zwierzęta. Na ziemi zapanuje wieczna pustka. Zarodki życia rozsiane w postaci małych komórek pozostaną jednak, jako zadatek dalszego życia na świecie.

---

*) Najczęściej dzieje się tak, że komórka wytworzona w ciele samicy t. zw. jajo łączy się z komórką wytworzoną przez ciało samca. Ze złączenia tych dwu komórek powstaje nowy organizm

---

Odpowiedzialny redaktor: Zygmunt Klemensiewicz. — Z Drukarni Ludowej w Krakowie, Filipa 11.